

Warszawa, dnia 30 Maja / 11 Czerwca 1870 roku.

№ 23. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztową za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. Rok VI.

TREŚĆ: Zdrowie, czas i pieniądze, napisał Aleksander *Osipowicz*.— Kwiaty, poezja *E...ly*.— Swoszowice (z ryciną), przez Ksawerego *Drużbę*.— Pierwszy krok, rzeźba Teodora *Kamieńskiego* (z ryciną), przez Karola *Sławiańskiego*.— Antoni Wawrzyniec Lavoisier (dokończenie), przez Jana *Pietraszka*.— **Humoreska:** Wielki człowiek do małych interesów (z ryciną).— Głos z nad Narwi, przez *Kurpia*.— Wiadomości techniczne (z dwiema rycinami).— Rozmaitości.— Korrespondencja od Redakcji.— Ś. p. Zofia z *Brzozówki* (Klimańska).— Zeszyt VI-ty **„Czytelni Domowej,"** obejmujący ciąg dalszy powieści **„Straceni,"** przez *Wołodego Skibę* i *Arkadjusza Kleta*.

ZDROWIE, CZAS I PIENIĄDZE,

NAPISAŁ

Aleksander Osipowicz.

Kto ma czas, ma przed sobą przyszłość, a kto ma przyszłość do swego rozporządzenia, ten ma przed sobą cały świat otwarty.



Swoszowice (Strona 281-a).

Żeby mieć czas, potrzeba mieć zdrowie. Człowiek słabowity, schorowany lub chory, nie ma czasu, bo zajęty jest walką z nieprzyjacielem groźnym, który czycha na jego życie i trapi go ciągle dolegliwościami.

Człowiek zdrowy, jest silnym, wytrwałym, odważnym i zdolnym do pracy, która jest jedynym racjonalnym sposobem zużytkowania czasu i zabezpieczenia sobie niezależności w świecie.

Człowiek trapiony dolegliwościami, nie może oddawać się ciągłéj i wymagającéj natężenia umysłu i sił ciała pracy, lęka się przykrości i przeszkód wszelkich, nie może odbywać podróży, znosić niewygód i niewczasu, zgoła jest zależnym od miejsca, ludzi i okoliczności. Nic więc wielkiego ani pomyśleć, ani przedsięwziąść, ani dokonać nie potrafi.

Niezależność w życiu nabywa się nietylko sumieniem, rozumem, zasadami, ale i za pomocą środków materjalnych, służących do zaspokojenia potrzeb życia umysłowego i zmysłowego drogich nam istot, nędzarzy i swego własnego.

Środkiem czynienia dobrze innym i sobie, są pieniądze. Uczciwie nabyte pieniądze, są owocem pra-

cy, praca tylko w czasie może być wykonaną, a czas na pracę może być obrócony tylko przy zdrowiu duszy i ciała, idącemi ze sobą społem.

Bo słusznie powiedziano: że w zdrowem ciele, zdrowa dusza.

Mnóstwo błędów, zdrożności, a nawet występków i zbrodni, bywa popełnianych z powodu chorób umysłowych, będących najczęściéj wynikiem anormalnego stanu organizmu.

Prawodawstwo kryminalne, choroby tego rodzaju ma na pilnéj uwadze, przy roztrząsaniu spraw o zbrodnie przed sądy wytaczanych i zdarza się bardzo często, że karę miarkuje do stanu zdrowia, umysłu lub ciała, w jakiem obwiniony w chwili pogwałcenia praw się znajdował.

Ludzie drażliwi, irytujący się za lada co, przykrzy w obejściu, dokuczliwi, wymagający i okrutni dla osób najbliższych, najczęściéj bywają nurtowani jaką chorobą, o któréj nieraz sami nie wiedzą. Wyleczyć ich z téj choroby, jest to przywrócić im humor, cierpliwość, dobroć, wyrozumiałość i łagodność.

Życie jest walką o byt, polem téj walki jest czas pracowicie spędzony, orężem—pieniądze.

Kto więc do walki téj nie występuje orężnie i pancernie, albo na ciągłe narażonym jest pociski i niepowodzenia, lub znękany upada—staje się nędzarzem, a często nędznikiem.

Coby powiedziano o wojowniku, który do zapasów z potężnym a nieubłaganym przeciwnikiem, wystąpiłby bez oręża i sił potrzebnych do władania nim dzielnie?

Kto zaś do szranków życia przystępuje bez zdrowia, jest właśnie owym nierozważnym zapastnikiem, który stanie się ofiarą, będzie pokonanym, a biada zwyciężonym, jak słusznie zauważyli starożytni.

Mniéj więcéj jednakże wiadomem jest każdemu, że zdrowie jest dobrem najwyższem, że czas utracony nigdy nie wraca, a jest skarbem nieoszacowanym, że pieniądz strwoniony, jest to stracona możność czynienia dobrze, a zatem zmarnowana największa rozkosz życia; i jest to utracona część niezależności, najzacniejszéj z rozkoszy osobistych człowieka; a przecież niczego więcéj i nieoględniéj nie trwonimy zwłaszcza w młodych latach, jak zdrowia, czasu i pieniędzy.

Młodemu człowiekowi zdaje się że nigdy nie będzie chorował, że ma dosyć czasu przed sobą, więc pocóż go oszczędzać? a stracone pieniądze odzyskać w czasie pracą potrafi, byleby to się mu podobało.

Jest nawet pewien fałszywy wstyd pomiędzy młodzieżą pod względem ochraniania własnego zdrowia i źle zrozumiany punkt honoru, dla którego młodzież rada wystawiać się dobrowolnie na rozmaite przygody zagrażające jego utratą.

Ale jest pewna miara we wszystkiem. Co innego jest bowiem pieszczenie się i zniewieściałość, lękające się najmniejszego podmuchu wiatru, młodzieńcom wyhodowanym jak to mówią za piecem, właściwa, a co innego jest szalone narażanie się na utratę zdrowia przez wybryki, lekkomyślnych junaków cechujące.

Można być mężczyzną w całem znaczeniu tego wyrazu, hartownym na wszelkie znoje, trudy, niewczasy, niepogody, niedostatki i strapienia, a rozumnie szanować zdrowie swoje i nikt takiego człowieka o zniewieściałość i tchórzliwość nie posądzi.

Hartować się do trudów i znojów fizycznych i moralnych każdy mężczyzna powinien, ale narażać się bezpotrzebnie i bezpożytecznie na utratę zdrowia, jedynie przez junactwo, to więcéj niż śmieszność, bo to głupota.

Nieraz daje się słyszeć młodzika chwalącego się, że tyle a tyle nocy hulał, grał w karty, pił na zabój, tańczył, zgrzany wychodził na mróz żeby się ochłodzić, lub wychylał szklanice zaprawnego lodem napoju, że w paletociku wiatrem podszytym puścił się kuligiem o parę mil za miasto, że polował do upadłego przez kilka dni z rzędu, że hasał na dzikim koniu, z którego tylko co karku nie skręcił i t. p.

Wszystko to junakierja, a nic więcéj. Nie jeden został na całe życie kaleką lub łazarzem po takich próbach. Człowiek nie z żelaza, może on znosić wiele, ale nie wszystko i tylko do pewnego stopnia. Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie.

Z resztą upędzanie się za owemi hulackiemi i pijackiemi wawrzynami, dowodzi braku dobrego wychowania, taktu i gustu. Tylko dziki człowiek przyjemności i uciechy posuwa do zbytku, do nadużycia, do zgorszenia i utraty pamięci o sobie i zdrowiu. Człowiek ucywilizowany używa przyjemności i rozrywek rozważnie i w miarę.

Tylko prostaczysko zajada tyle że aż mu mdło się robi, wypija tyle że aż odurzy się, tańczy tyle że aż pot z niego strugami się leje, gra w karty aż do zgrania się do nitki lub ogrania innych, poluje jak kłusownik ale nie łowiec racjonalny i zgoła posuwa wszystko do ostateczności.

Widząc młodzieńca wśród zabaw, uciech lub rozrywek, można odrazu poznać co on wart. Dobrze wychowany i ukształcony, używa; głupiec nadużywa. Nadużycie jest zbydlęceniem. Zwierzę nawet niezawsze nadużywa, bo go instykt zachowawczy ostrzega o niebezpieczeństwie; gdy człowiek wbrew temuż samemu instyktowi i poczuciu wstydu, z poniżeniem godności osobistéj, przez proste naśladownictwo lub z podniety, zapomina się gorzéj jak stworzenie nieme i bezrozumne.

Ale nietylko nadużycia prowadzą do utraty zdrowia, gdyż i nietrafne zachowanie się wśród życia wstrzemięźliwego i pracowitego, naraża wielu na liczne cierpienia i dolegliwości.

W Warszawie np. mężczyzni zupełnie nie oddają się ćwiczeniom ciała, zdrowie dającym lub je zachowującym. Zakład gimnastyki i szermierki, stoi prawie pustkami, każdy z nas wie o tem, że nie napróżno za granicą, wszędzie gdzie tylko rozum publiczny dojrzał należycie, podobne zakłady są liczne i nader uczęszczane. Chcąc młodzież uchronić od nadużyć i zepsucia, potrzeba jéj dać zajęcia i rozrywki odpowiednie. Nikt nie zaprzeczy temu, że młodzieniec który kilka godzin spędzi na gimnastyce i fechtunku, nie pójdzie do knajpy by tracić tam wstyd i grosz rodzicielski, ale uda się do domu by wypocząć i zająć się umysłowemi rozrywkami w gronie osób blizkich mu i życzliwych.

Każdy wie o tem dobrze, że młodzieniec pozostawiony samemu sobie w wielkiem mieście, nie mając dostarczonych dla swego użytku odpowiednich rozrywek i zajęć, czas wolny obróci na hulanki i rozpustę, o które chcąc nie chcąc ocierać się mu przyjdzie. Każdy wie o tem, że okropne morderstwo po-

pełnione przez młodzieniaszka w Bielańskim lesie, dla zrabowania pieniędzy, które kolega jego skradł swoim rodzicom, a raczéj tak kradzież ta jak i owe morderstwo, hulankę miały na celu.

A przecież, jakże nie wielu ojców stara się o zajęcie przyzwoite czasu dla swych synów? I dla czegoż to zakład gimnastyczno-szermierski nie zaludnia młodzież, gdy pełne są jéj knajpy i wszelkie jaskinie upadku moralnego? Czy rodzicom tak żal jest na ten cel kilku groszy, gdy nie żałują na zbytkowne i gorszące toalety swoich cór będących na wydaniu?

Mężczyzni dorośli zaś, prowadzący życie siedzące, zamiast czas wolny od zajęć spędzić gdzieś na wolnem, czystem powietrzu za miastem, przesiadują po całych godzinach w zakładach publicznych lub ogrodach miejskich, przejętych kurzem ulicznym i miazmatami rynsztoków.

Może z większych miast w Europie jedna tylko Warszawa ma to do siebie, że rzadko bardzo można widzieć mężczyznę konno, na ulicach i spacerach. Niedostatkiem nie mogą wymawiać się wszyscy; wiedzą bowiem sąsiedzi jak kto siedzi, ale zniewieściałość jest cechą naszego miasta i czasów.

Czy widać choć jedną łódkę na Wiśle manewrowaną przez mężczyzn klasy ukształconéj? Gdy tymczasem po wszystkich wielkich i mniejszych nawet miastach za granicą, mnóstwo mężczyzn uwija się konno lub zabawia się żeglugą amatorską na wodach przymiejskich.

Dla tego też brak rozrywek pokrzepiających siły fizyczne, przesiadywanie pięknéj pory roku w zaduchu miejskim, ociężałość, apatja, a może i nadużycie stołu, sprawiają, że w Warszawie bardzo mało widać na ulicach rzeźkich starców, ale za to mnóstwo spotyka się mężczyzn zwiędłych w czterdziestym roku życia, o twarzy znękanéj cery ołowianéj.

Gdzie ćwiczenia fizyczne są zaniedbane, tam o zdrowiu i długiem życiu mowy być nie może.

Święta i wszystek czas wolny od zajęć, młodzież spędza tu na hulankach, dorośli ludzie na przesiadywaniu w murach miejskich, z rzadkim chyba wyjątkiem tych, co mają zwyczaj daleko za miasto wychylać się na przechadzki lub wydalać się kiedy niekiedy na łowy.

Jeżeli więc ktoś młodość zmarnotrawi na hulatyce, dojrzały wiek na pokutowaniu za nią, to starość, jeżeli jéj doczeka, spotka go z cierpieniami i ubóstwem.

Gdzie ludzie nie szanują zdrowia, a zatem nie mają czasu na pracę korzystną, to muszą być biednymi, a zatem i ciemnymi.

Co do używania czasu na zabezpieczenie sobie pogodnéj przyszłości, trudno jest oznaczyć z góry prawidła.

Lecz łatwem jest do przewidzenia z góry, jakie zajęcia nie zabezpieczają bytu i przyszłości, przy najsumienniejszéj nawet pracy.

Praca piórem, jest właśnie jedną z najzawodniejszych. Bo jeżeli ktoś niczego innego się nie nauczy, a losy lub ludzie wytrącą mu to pióro z ręki, odrazu staje się nędzarzem. A jednakże tylu ludzi garnie się do pióra, widząc dobrze jakie następstwa ono często, a nawet zbyt często sprowadza.

Trzeba przestać wierzyć w potęgę pióra i zawcześnie z młodu nauczyć się mu niedowierzać, a działalność swą skierować na inne, nie tak ulegające igrzyskom losu pole.

Co do pieniędzy, to rozumne używanie ich, większą może jest sztuką jak zdobycie przemysłem lub pracą. Wielu jest takich co pieniędzy wiele zarabiają, ale nie umieją się z niemi obchodzić.

W ogólności zaś, człowiek pracy nie ma prawa wydawać zbytnio pieniędzy na jadło, napoje, rozrywki, uciechy, zbytek, a tem bardziéj rozpustę. Kto o tem nie pamięta, jest zgubionym.

Ale w wydatkach domowych trzeba także umieć sobie radzić. Drobne, groszowe wydatki, są najstraszniejsze, bo na nie się nie zważa, a z nich tysiące się formują. Trzeba więc prowadzić rachunki, a z nich łatwo będzie się przekonać, że owe drobne wydatki, na najściślejszéj pieczy mieć należy.

Kto jest miękkiego serca i nie może oprzeć się zawsze pokusom, niechaj wychodząc na miasto bierze z sobą *jaknajmniéj pieniędzy*, a nigdy téj przezorności *nie pożałuje*.

Niechaj nikt nigdy nie kupuje rzeczy niepotrzebnych, bodajby najtaniéj za nie płacić przyszło, *bo kto kupuje rzeczy niepotrzebne, częstokroć bywa zmuszony najpotrzebniejszych się pozbywać.*

Nikt nie wie co go czeka jutro, może wypaść mu podróż odległa, przygoda lub choroba w domu, nieszczęście krewnego lub przyjaciela, trzeba więc zawsze mieć jakiś grosz w zapasie i uważać go za nietykalny, niby korpus obserwacyjny, od wtargnięcia nieprzyjaznych losów w krainę życia.

Ograniczyć wydatki do przychodu, jest znakomitą już sztuką, ale tak je urządzić, żeby z dochodu zostawał zapas na wszelką przygodę, jest prawdziwą mądrością. Trzeba zaś do niéj tylko wyrzec się wielu rzeczy bez których obejść się można. Chcącemu nie ma nic trudnego, bo dobrze to mówią, że wiele ten czyni co musi, ale ten więcéj co chce.

Na zakończenie niniejszego artykułu i na poparcie zdań w nim zawartych, przytaczam następujące sentencje:

,,Szlachetne zdrowie,
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.“
(Krasicki).

Wszystko w czasie,
Tam uda się
Gdy kto szczerze,
Rzeczy bierze.“
(Krasicki).

,,Kto grosza nie szanuje, grosza nie wart.“
(Stare przysłowie).

,,Kiedy wół po groszu, a grosza nie ma, to wół [drogi.“
(Zdanie praktyczne).

KWIATY.

I.

DZWONKI.

Naraz mi jasność zniknęła dzienna,
I świat zalała ciemność bezdenna;
Czułem, że serce boleść mi zrywa...
Poczem nastała cisza straszliwa.
Z całego życia przebrzmiałéj wrzawy
Zostały tylko mgliste wspomnienia,
. . . .
. . . .

W wnętrznościach ziemi, w prochu i pyle,
Leżałem martwy w swojej mogile,
Z wystygłą piersią, z wystygłą twarzą,
Pod srogiéj śmierci leżałem strażą;
Lecz chociaż wszystko padło w rozstroju,
W niemocy ducha, w martwości ciała,
Jednak nie miałem w grobie spokoju,
I myśl paląca wszystko przetrwała—

A pod tych marzeń mglistą zasłoną,
Pod tym oddźwiękiem przebrzmiałych godzin,
Tysiącem uczuć drżało mi łono,
Tysiącem wskrzeszeń, czy też narodzin,
Życie się lało w nowe koryto
Rzucając dawną formę przeżytą.

* * *



Pierwszy krok (Strona 282-a).

I po przebytéj męce konania
Zostało jeszcze poczucie trwania.

* * *

Czułem na ustach życia gorycze
I wszystkie smutki śpiewne, słowicze;
Marzenia w przepaść strącone ciemną
Ulatywały jeszcze nademną;

Czułem, jak piersi moje rozsadza
Razem niszcząca i twórcza władza,
Jak nieśmiertęlna Boska potęga,
W ruch nieskończony znowu mnie wprzęga,
Jak mnie roztapia w światów ogromie,
Jak mi dla ducha drogę toruje...
I widzę siebie w każdym atomie,

I wszędzie myśl mą dawną znajduję;
A jedną cząstką po nad grobami
Wybiegam na świat kwiatów oczami.

* * *

I zamieniony w dzwonki błękitne
Na własném zgliszczu stoję i kwitnę. .
Znowu się patrzę na jutrznię złotą,
Znowu się do niéj zwracam z tęsknotą;
A noc wiosenna perłowe łezki
Rzuca na kwiatów senne kielichy,
I znowu kończę sen mój niebieski,
Taki spokojny i taki cichy...
A kiedy wietrzyk potrąci kwiecie,
Pieśń idealna płynie po świecie.

* * *

Płynie daleko—wietrzyk ją niesie
Po złotem polu, zielonym lesie,
Mięsza się z szmerem jasnego zdroju,
Z szumem topoli, z śpiewem słowika,
I nadpowietrznym hymnem spokoju,
Harmonją ciszy serca przenika;
I błogosławi ojczyste pole,
I błogosławi ludzką niedolę.

* * *

Fig. 1.

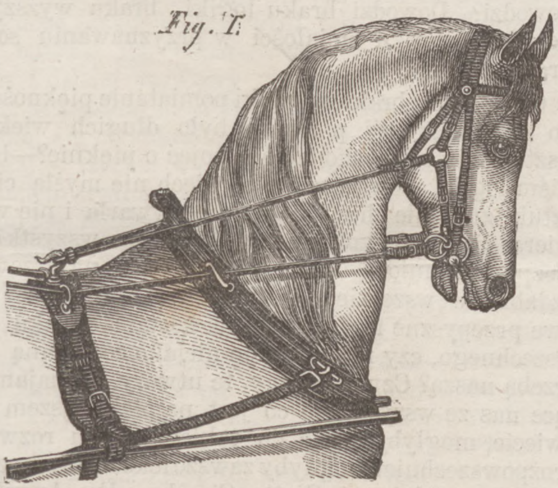
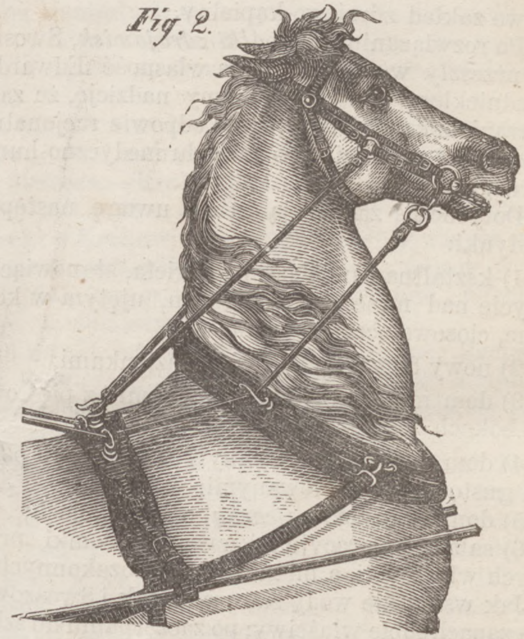


Fig. 2.



Cugle bezpieczeństwa Hainego—(Strona 287-a).

Czasami także niebieskie kwiecie
Zwabi do siebie samotne dziecię;
I siada dumać pacholę młode
Patrząc na kwiatków dziwną urodę;
I nie wie nawet jakim sposobem,
Zrywając dzwonków kłosy powiewne,
Wyrasta myślą nad smutnym grobem
I w sercu dźwięki znajduje śpiewne;
Lecz czuje tylko: że się w niem budzi
Pragnienie niebios, miłość dla ludzi.

* * *

Więc czegoś patrzy i czegoś czeka,
Niby coś widzi w cieniu zdaleka...
W gasnącéj zorzy i w barwach kwiatów,
Zgaduje piękność umarłych światów,
I nim się ocknie z zadumy sennéj—
Wykwita przed niem na tle błękitu
Anielska postać w szacie promiennéj,
Płynąca ogniem nowego świtu,
I tajemnice grobów odsłania
Królowa śmierci i zmartwychwstania.

E... ły.

SWOSZOWICE.

Nie ma nic przyjemniejszego w życiu człowieka jak zdrowie. Brak zdrowia psuje nam humor, zaciemnia najjaśniejsze dnie, zniechęca do pracy i działalności tak fizycznéj jak i umysłowéj, jednem słowem, czyni nas nieszczęśliwymi. Całem więc staraniem powinniśmy się otoczyć aby to upragnione zdrowie zachować, strzedz i pielęgnować o ile można.

Brak zdrowia jednostki, źle wpływa na ogólny ustroj społeczeństwa ludzkiego, naczelnym artykułem tego Numeru *Opiekuna Domowego*, dowiódł zdaje się dokładnie pan Aleksander *Osipowicz*. Do jego wymownych twierdzeń, bo przykładami popartych, nie wiele słów moglibyśmy dodać, a jeżeli już co dodawać trzeba, to tylko szczerą radę usunięcia przyczyn, które do rozstroju organizmu,— do jego wycieńczenia i upadku prowadzą.

Gdy zaś złe, to jest choroba już nas nawiedziła—pamiętajmy zaraz w początkach ją usuwać, szukajmy rady specjalistów, którymi są lekarze, odrzucając wszelkie szarlatańskie leki, bo te do grobu tylko zaprowadzić nas mogą.

Na różne cierpienia i choroby, różne są także środki i lekarstwa. Pomiędzy innemi znakomitą rolę odgrywają wody mineralne. Opiekun Domowy chcąc zaznajomić swoich czytelników z krajowemi miejscowościami zdrojowisk i wód mineralnych, podał już w tym roku opis Ciechocinka i Iwonicza. W obecnym Numerze postanowiliśmy choć w krótkości opisać *Swoszowice*.

W południowo-zachodnim kierunku o milę od Krakowa, gdzie ostatnie odnogi Beskidów spłaszczając się przechodzą w rozkoszną dolinę Wisły, znajduje się wieś *Swoszowice*, słynna z bogatéj kopalni siarki i swego zdroju siarczanego.

Już w XVI-ym wieku znane były tutejsze siarczane kąpiele, czego dowodem pomnikowe dzieło Polskie-

go lekarza *Wojciecha Oczka*, wydane w Krakowie roku 1578, pod napisem: „Cieplice.“

Feliks Radwański profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, nabywszy małą wioseczkę ze zdrojem na własność i założywszy tu w r. 1811 dom łaziebny i gościnny, położył trwałe podwaliny do tutejszego zakładu zdrojowego. Wkrótce obudziło się tu wesołe, kąpielne życie, mieszkania były zawsze gośćmi przepełnione, łazienki nawet nie starczyły wielkiemu natłokowi chorych i zdrowych przybyszów. Muzyka, tańce i zabawy, zebrania towarzyskie, obok pomyślnych skutków z używania wód, ściągały mnóstwo osób na kurację, dla odetchnienia lub dla rozrywki, dla wyleczenia się, lub też dla przepędzenia czasu. Tak pomyślny stan zdrojowiska utrzymywał się aż do roku 1830. Potem, z upadku i zaniedbania dźwignęła go dopiero i do życia napowrót powołała w r. 1859 *Spółka zdrojowisk krajowych*, nabywszy Swoszowice na własność i odbudowawszy z gruntu na nowo zakład zdrojowo-kąpielny.

Po rozwiązaniu się *Spółki zdrojowisk*, Swoszowice przeszły w roku 1867 na własność Edwarda hr. Stadnickiego i spółki—i mamy nadzieję, że za jego staraniem zakład ten godnie odpowie racjonalnemu rozwojowi prawdziwego zakładu medyczno-humanitarnego.

Dotychczas zasługują tu na uwagę następujące budynki:

1) kształtna ośmioboczna glorieta, stanowiąca nakrycie nad mineralnym zdrojem, ujętym w kosztowne, ciosowe ocembrowanie;

2) nowy dom łaziebny, z 22 łazienkami;

3) dom mieszkalny z 35 pokojami i z piętrowymi po bokach pawilonami;

4) dom mieszkalny, zwany *Pałacem*, z 19 pokojami gustownie umeblowanymi;

5) dom zwany *Szwajcarką*, o 17 pokojach;

6) sala restauracyjna i nareszcie domki prywatnych właścicieli, a mianowicie starozakonnych.

Jak wszystkie wody siarczane, tak i Swoszowicka ma zapach sobie właściwy; po zaczerpaniu do szklanki zrazu przezroczysta, w kilka minut mętnieje. Z najważniejszych składowych jéj części są: siarczan potażowy, sodowy, litowy, wapniowy i magnowy; z węglanów: magnowy, wapniowy i żelazowy, a co najważniejsza, posiada ona wielką ilość gazu kwasu wodosiarkowego i gazu kwasu węglowego.

Woda Swoszowicka jest bardzo silną wodą siarczaną, nawet do użycia wewnętrznego przydatną, a w kąpielach arcyskuteczną być może, byle nie była rozłożoną.

Porównawszy wodę Swoszowską z najsławniejszemi wodami siarczanemi europejskiemi, okaże się, iż je o bardzo wiele przewyższa.

Do chorób nadzwyczaj pomyślnie wodami Swoszowickiemi leczonych należą: 1) reumatyzm, 2) dna czyli artrisis, 3) zadawnione odrętwiałe wyrzuty skórne, tudzież wrzody, 4) zołzy czyli choroby skrofuliczne, 5) bóle nerwowe i paraliż. Dodajmy do tych błogosławionych skutków urocze położenie miejscowości, bliskość europejskiéj sieci dróg żelaznych i starożytnego Krakowa, a przyznamy, że mając taki zdrój wpośród siebie, niepotrzebnie oglądamy się na zagraniczne, modne ale za to nieporównanie droższe, kosztowniejsze. Cóż tu dopiero mówić o tych rozkosznych wycieczkach w czarujące dokoła okolice! Kraków, niebotyczne Tatry, z dziarskimi góralami i świszczącemi orły, zwaliska zamków, podania i fantazyjne powieści z pleśnią pokrytych wieków, wesołość, zabawa ze swymi i pomiędzy swymi, to także przecież coś znaczy, to także bodaj, czy czasem nie najstósowniejsza recepta na największe boleści i rany duszy.

Nie możemy więc lepiéj zakończyć tego krótkiego opisu o zdroju Swoszowickim, jak tylko jeszcze raz gorąco go zalecić i przypomnieć naszéj publiczności.

Ksawery Drużba.

PIERWSZY KROK,

RZEŹBA

Teodora Kamieńskiego.

Często dzisiaj, nawet publicznie, słychać zdania lekceważące sztukę. Nie jeden przyznaje się z niepojętym cynizmem, że już nie rozumie sztuki, że dla niego lepszym jest byle fotograficzny obrazek, niż owe postacie i twarze, przechodzące przez wieki, jako arcydzieła, przez cały świat podziwiane. Czegóż to dowodzi? Dowodzi braku logiki, braku wyższych uczuć i... zbytku śmiałości w przyznawaniu sobie praw sądzenia.

Czy nie jest brakiem logiki pomiatanie pięknością, do dojścia któréj potrzeba było długich wieków kształcenia się, doskonalenia pojęć o pięknie?—brakiem logiki, powtarzamy, bo niech nie myślą ci co sztuki znać nie chcą, że ona nie wywarła i nie wywiera ciągłego wpływu na życie, na wszystkich. Rozpowszechnione dzisiaj rytownictwo na drzewie, ozdabianie wszelkiego rodzaju dzieł illustracjami, owe przepyszne ryciny, czy nie kształcą smaku powszechnego, czy nie stały się niejako codzienną potrzebą naszą? Czy te ryciny, te utwory, zaznajamiające nas ze wszystkiem co jest najpiękniejszem na świecie, mogłyby dojść do takiego stanu rozwoju i rozpowszechnienia, gdyby zawsze lekceważono sztukę? Zaiste, gdyby nie Giotto, Cimabue, Fra-Angelico i t. p., którzy pierwsi rozpoczęli twórczą drogę w malarstwie, czyby mógł istnieć późniéj Leonardo-da-Vinci, Michał-Anioł i Rafael, czy mogłaby sztuka dosięgnąć w jednéj twarzy tak Boskiego ideału, jakiego dosięgnął Rafael w Madonnie? Ileż to potrzeba było wieków, pracy—ilu ludzi niezmordowanéj woli i wyższego ducha, aby od epoki Byzantyńskich bohomazów, potworów, dojść do takiego wdzięku, naturalności i świętości, jakie spostrzegamy w twarzy Madonny! I czy twarz ta została sama dla siebie piękną, na płótnie? Nie, bynajmniéj; spełniła ona posłannictwo wysokie. Po twarzy Rafaelowskiéj Madonny lub po innych podobnie wielkich dziełach, pojęcie o pięknie rozszerzyło się powoli pomiędzy ludźmi i jako ciąg dalszy, teraz jeszcze się rozszerza. Wielki zastęp mistrzów Włoskich, wywołał i wykształcił zastępy mistrzów w innych krajach, a mistrze znowu ukształcili społeczność, nauczyli ją pragnąć piękności i pojmować tę piękność w najdzielniejszych dziełach. Wpływ sztuki, jest wpływem cywilizacyjnym; bo kto w sztuce uwielbia ideał, kształt nadobny i doskonałość formy, ten w życiu także nie może być grubym i nieociosanym, ten nie będzie wychowywał córek swoich na czeczotki, na

świergotliwe zabawki, lecz postara się, aby choć o ile można, nabrały powabu, właściwego dobrym istotom. Twarz Madonny może być w tym razie słońcem, które rozjaśnia, jaką powinna być kobieta, dziewica, aby miała w obliczu swojem macierzyństwo, niepokalanie, wzniosłość myśli i naturalność. Sztuka nie jest czemś naleciałem, nikłem; —gdzie upada sztuka, upada i duch moralny. Sztuka nie kwitnie zarówno u narodów dzikich i u narodów, które straciły siłę, żywotność, które już nie szanują potęgi moralnéj.

Samo się przez się rozumie, że te kilka słów o sztuce i przedstawienie to zasługi malarstwa, odnosi się także i do rzeźby. Rzeźba nawet świetniejszą ma przeszłość niż malarstwo, bo kiedy starożytność chromała w malarstwie, rzeźba dosięgła tam najwyższego rozwoju, po za który posunąć się już nie może. Chociaż w starożytności byli malarze znakomici, jak Apelles, chociaż tworzyli dzieła, łudzące doskonałą prawdą nawet ptaki, nie mogli jednak tworzyć nic prawdziwie skończonego, bo nie znali praw perspektywy, którą dopiero w średnich wiekach pierwsi mistrze Włoscy zastósowali. Za to rzeźba starożytnych rozwinęła się nad podziw. W dziedzinie rzeźby nie ma już nic takiego, czegoby jako piękność nie użyli starożytni. Ich Jowisz Olimpijski, ich bóstwa, ich bohaterowie, ich niewiasty, służą nam i dzisiaj za wzory w sztuce, a kollekcja antyków, w każdem muzeum stanowi najwyższą, jakoby niemą, ale nieśmiertelną gruppę sędziów. To, co się dzisiaj w rzeźbie wykona, może być mierzonem jako dzieło według form klassycznych. Chociaż bowiem i w rzeźbie, tak samo jak w malarstwie, może być realność, *rodzajowość*, rozmaitość, schodząca aż do poziomości; niemniéj jednak w pewnych wypadkach, skończone tylko kształty klassyczne mogą znaleść miejsce jedyne i panujące: na gmachach, świątyniach, pomnikach. Może, prawda—i dzisiejszy rzeźbiarz zajmować się produkowaniem rozmaitych scen z życia powszedniego, może nawet niekiedy, jak np. w utworach *charakterystycznych* dojść do pewnéj zasługi i wyższéj prawdy, z tem wszystkiem jednak wartość tych utworów będzie zależeć od tego, czy nie wpadają one w pospolite naśladowanie, czyli kamienne naśladowanie natury. Rzeźba wymaga koniecznie pewnéj skończoności w swoich dziełach, powinna być typową a nie fotograficzną. Wyobraźcie sobie czytelnicy, do czegoby był podobnym gmach pięknéj czystéj architektury, ustrojony np. postaciami wziętemi z życia powszedniego i choćby mistrzowsko wykonanemi, postaciami lichwiarzy, żebraków z palcami wyłażącémi z butów, łotrów czychających na ofiarę, ludzi z okrągłym brzuszkiem, albo z nóżkami jak ołówki, kobiety w powykręcanych dzisiejszych trzewikach! Są wypadki kiedy potrzeba czystości i jasności stylu. Styl gmachu powinien odpowiadać stylowi postaci rzeźbionych, a wtedy posągi te staną się żywemi, przemawiającemi, ale jakby bosko, tajemniczo. Czy nie czynią na was uroczego wrażenia piękne dzieła rzeźby, którémi ozdobiona jest miejscowość niejedna choćby i w Warszawie? Doznaje się pewnego lubego i uroczystego wsrząśnienia, gdy się wejdzie pomiędzy posągi; czujesz, że nie przedstawiają one prawdziwego życia, ale widzisz, że uszlachetniają cię i podnoszą. Jeżeli zajmiesz się badaniem piękności rzeźby, to niepodobna, abyś i w życiu codziennem, otaczał się brzydkiemi lub nie mającémi wyrazu wizerunkami, a nawet sprzętami, przedmiotami potrzeby.

Gdyby nie było arcydzieł twórczych, dzieł idealnie pięknych, sztuka a potem niechybnie i życie zmalałoby do niegodnych dążności i drobnych rozkoszy...

Na szczęście u nas nie widać jeszcze tego ostatniego kierunku ani w malarstwie, ani w rzeźbie; w malarstwie mamy takich przedstawicieli jak Matejko i Grotger, a w rzeźbie szereg, acz nie liczny, artystów, których dzieła zaszczyt im przynoszą. Od czasu do czasu oglądamy w Warszawie utwory dłuta to Sosnowskiego, to Marconiego, to Syrewicza, Cenglera, Brodzkiego, Mantzla i innych. Czystość stylu, wspaniałość przedmiotu i szlachetny kierunek, odznaczają tych artystów. I rzeczywiście rzeźba jest sztuką tego rodzaju, że trzebaby było wielkiéj odwagi, aby tak mozolne tworzenie w marmurach lub glinie, obracać na przedmioty mniéj godne. Wszak ludzkość tyle jeszcze cierpi, tyle pragnie, tyle ma wzniosłych dusz i postaci, tyle ma wielkich chwil a więc i wielkich przedmiotów, że zawsze znajdzie się coś do pomysłu, jako materjał twórczości.

Ale tak jak wszędzie i u nas rzeźba najmniéj ma pracowników i najmniéj wielkich mistrzów. Oprócz Wita Stwosza,—Krakowianina, którego losy w Norymberdze znane są każdemu a który wykonał ołtarz Marjacki w Krakowie, nie liczymy aż do nowszych czasów, znakomitszych przedstawicieli, nawet w téj epoce, kiedyśmy posiadali Smuglewiczów i Czechowiczów w malarstwie.

I na naszéj też wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, najskromniejszy oddział znajduje rzeźba, a nawet przez lata całe nie zjawia się tam dzieło uderzające wielkim talentem, oprócz prób mniéj więcéj udatnych. Pochodzi to raz ztąd, że liczba artystów rzeźbiarzy, jest stosunkowo bardzo szczupłą i powtóre, że jakoś nie jest tu we zwyczaju dzieła rzeźby zamieszczać na Wystawie Zachęty. Oglądamy je zwykle w pracowniach artysty lub na miejscach swojego przeznaczenia, jak np. „Anioła Zmartwychwstania“ Syrewicza, jako figurę przy nagrobku w kościele Ś-go Krzyża i „Chrystusa w grobie“ Sosnowskiego, w kaplicy kościoła po Karmelickiego na Krakowskiem-Przedmieściu.

Szkoda jednak że u nas interes do dzieł rzeźby słabszy jest niż gdzieindziéj. Jeżeli i zagranicą liczba rzeźbiarzy jest szczuplejszą, to jednak, w razie zjawienia się jakiegoś szczególniejszego zamiłowania lub talentu, starają się tam talent ten rozwinąć. Tymczasem u nas, przez brak widać pola w téj sztuce, niejeden może prawdziwy talent zgasł w zapomnieniu. Czy nie ciekawa naprzykład rzecz, co się stało, albo raczéj, coby się stać mogło z owego rodzinnego wioskowego rzeźbiarza-snycerza, który kilkanaście jeszcze lat temu, z takim zapałem wycinał prostym cygangiem owe rozpowszechnione jeszcze przy ołtarzykach domowych pań naszych posągi Najświętszéj Panny Skępskiéj? Jeżeliby się kształcił, doszedłby był może, a choćby i nieśmiertelności?

W Rossji jak malarstwo, tak i rzeźba potężną mają podporę w Petersburgskiéj Akademji Sztuk Pięknych. I trzeba przyznać, że szczerze tam protegują każdy talent. Jeden z lepszych dzisiejszych malarzy Ruskich, Ajwazowski, przez opiekę i żywe zajęcie się jego zdolnościami możnych osób, znalazł wstęp do Akademji a ztamtąd drogę za granicę dla studjów

i wreszcie do dojścia tego stopnia talentu, z którego dziś jest głośnym w Rossji.

W dziedzinie rzeźby nie ma tam posuchy. Jednym ze zdolniejszych artystów dzisiejszych młodszego pokolenia, jest niewątpliwie Teodor Kamieński, który się urodził w roku 1836 pod Petersburgiem. Ma więc dzisiaj 34-ty rok życia, a już zdołał się odznaczyć wielu dziełami, zasługującemi na uwagę. Był on w ciągu lat 10-ciu uczniem Petersburgskiéj Akademji, zkąd udał się do Włoch, otrzymawszy stypendjum sześcio-letnie. Nie długo jednak bawił w Rzymie, przekładając nad to miasto pobyt we Florencji, zkąd od czasu do czasu, dostarcza wykonane dzieła rzeźby lub modele.

Pomimo jednak, że pracuje otoczony wspaniałémi antykami, ową nieśmiertelną klassycznością, artysta ten pragnie być oryginalnym i połączyć przedmioty realno-narodowe, z powagą i czystością klasycznego stylu. Chociaż więc bierze za przedmiot do swoich prac, nie wybiegające na szczyt boskości pomysły, z tem wszystkiem stara się o to, aby utwory jego, mając barwę swojską, były zrozumiałe, lube i przyciągające nawet dla tych, co kształcili smak swój na powszechno-ludzkim gruncie. Lepszemi jego dziełami są: „chłopiec-rzeźbiarz,“ „wdowa z dziecięciem,“ „dzieci pod deszczem“ i t. p. Ta ostatnia rzeźba znajdowała się na odbytéj niedawno wystawie w Monachjum. Na wystawie zaś Paryzkiéj była pomieszczoną „wdowa“ i „chłopiec-rzeźbiarz.“

Widzimy z tego, że Kamieński czynne i pracowite prowadzi życie. Chcąc się dokładnie obznajmić z wykonaniem w marmurze, mieszkał przez dosyć długi przeciąg czasu w saméj Carrarze, zkąd jak wiadomo, pochodzi ów najsłynniejszy marmur do rzeźby.

Ostatnią jego pracą, która także znajdowała się na wystawie Monachijskiéj jest rzeźba: „Pierwszy krok,“ któréj drzeworyt załączamy na czwartéj Stronicy w tym Numerze *Opiekuna Domowego*.

Pomysł i prawda uderzają w oczy. Ruch, życie w matce czuwającéj nad pierwszym krokiem dziecięcia, pojęte są z całym wdziękiem, przy wielkiéj naturalności całéj téj postaci. W twarzy matki maluje się widocznie i nadobnie radość, że dziecię stąpać już zaczyna i zarazem uwaga, troskliwa baczność, aby nie upadło gdy krok pierwszy uczyni; chyli się więc nad niem i jedną ręką podtrzymując małą rączkę synka, drugą zaraz podać mu gotowa. Chłopczyk tylko mógłby być piękniejszym; widać artysta, chcąc odbić w twarzyczce jego pewną nieufność we własne siły, a zatem rodzaj bezwiednego zastanowienia się i obawy, ową ostróżność istot niewinnych i prawie niemyślących, twarzyczkę tę uczynił nadto surową, odebrał jéj wdzięk i słoneczność dziecięcą.

Karol Sławiański.

HUMORESKA.



(Wielki człowiek do małych interesów).

ANTONI WAWRZYNIEC LAVOISIER.

(Dokończenie, patrz Nr. 22-gi).

To wyjaśnienie zostało wkrótce bliżéj potwierdzonem i obszerniéj oznaczonem. W r. 1774 przybył *Pristley* do Paryża i zapoznał Lavoisiera ze swoim gazem kwasorodu. Odkrycie, które cały świat uczony zdumiło, i obudziło nadzwyczaj podniesło śmiałą nadzieję w fantastycznych głowach, które w *powietrzu życia* dopatrywały sposób odmładniania i przeciwśrodek śmierci. Dopiero Lavoisier dał owemu odkryciu naukowe znaczenie. Już bowiem w r. 1775 poznał w tym nowym rodzaju powietrza, główną przyczynę wszelkiego palenia. Okazał jak wszystkie tlenki metalów (metallkalke), powstają z połączenia się metali z kwasorodem (tlenem) — jak również, że *powietrze* czyli *kwas powietrza* (Luftsäure) nic innego nie jest, jak tylko połączeniem węgla z kwasorodem, czy to przez spalenie djamentu, czy też poprostu węgla drzewnego. Okazał daléj, że powietrze atmosferyczne jest mięszaniną dwóch gazów, że zawiera w sobie $^1/_5$ nowo odkrytego palnego czyli żywotnego powietrza, podczas gdy $^4/_5$ znajduje się gazów saletrorodnych do oddychania i palenia nieprzydatnych. Lavoisier uznał dalej kwasoród (tlen) jako główną część składową najważniejszych kwasów, mianowicie kwasu węglowego, fosforowego i saletrowego, któremu swoje wspólne przymioty winny i to było powodem, iż w r. 1781 nowo odkrytemu powietrzu nazwę *kwasorodu* (tlenu-Oxygenium-Oxygene) nadał i odtąd też połączenia metali z kwasorodem, nazwisko niedokwasów (tlenków) metalicznych (Metalloxyde) przybrało.

Jest to cechą prawdziwego genjuszu, że nawet niepodobne, niejasne a czasem i fałszywe cudze spostrzeżenia, umie pożytecznemi uczynić. Gęsta jeszcze zasłona pokrywała najważniejszy ze wszystkich chemicznych processów, to jest rozczyn metalów w kwasach przez tworzenie się soli, kiedy odkrył *Cavendish* 1783 tworzenie się wody przy spaleniu gazu wodorodnego. Dla teoryi flogistonu, byłoby to zostało bezowocnym faktem, dla Lavoisiera stało się kluczem do wyjaśnienia zjawisk, jakie przy rozczynianiu się metalów w kwasach powstają. Złożenie wody z wodoru i kwasorodu, rozłożenie wody przez metale, były to bezpośrednie odkrycia, jakie La-

☛ **Patrz Dodatek.**

Dodatek do Nru 23go Opiekuna Domowego 1870 r.

voisier wyprowadził z tego faktu. W r. 1785 nowa teorja chemiczna w swych głównych zarysach, była ukończoną. Aż dotąd Lavoisier sam prowadził walkę przeciw adeptom teoryi flogistonu, przeciw teorji uświęconéj wiekiem i zwyczajem. Teraz dopiero połączyli się z nim godni jego wspólnicy: Berthollet, Guyton de Morveau i Fourcroy; byli oni najpierwszymi z pomiędzy chemików, którzy naukę Lavoisiera uznali i odtąd też nazywano ją powszechnie: ,,Chimie française" chemią francuzką.

W Niemczech przyjęto ją po wielkim oporze, *Klaproth* był pierwszym który w r. 1792 akademję Berlińską do uznania teoryi Lavoisiera skłonił, a gorącą zachętą i innych znakomitych chemików do uznania takowéj zniewolił. Że ta reforma naukowa w Niemczech tak późny odgłos znalazła, nie można się dziwić, była to bowiem ojczyzna teoryji flogistonu [1]).

Wpływ Lavoisiera na Chemję jest niezmierny. Surowość z jaką poddawał się swoim własnym prawom: ,,nigdy nie wnioskować więcéj, nad to co wskazuje doświadczenie" chroniła go od błędów i nigdy też poglądy reformatora nie zapewniły sobie tyle trwałego panowania. Jego genjusz nie dozwolił mu niczego przeoczyć i wznosił go wciąż po nad małe przypadki, które wielkie prawa rzadko natychmiast w swojéj zupełnéj czystości dozwalają dostrzegać. Żaden badacz natury, odziedziczonym po przodkach skarbem duchownym, tak szczęśliwie nie lichwił, żaden nauki swojego czasu tak nie uszlachetnił i tak bogato użyznionéj swoim następcom nie oddał, jak Lavoisier.

W pośród jednakże budowy owego wspaniałego gmachu, spotkała go burza francuzkiéj rewolucji. Lavoisier oddawał znowu swojéj ojczyźnie nowego rodzaju usługi. Gdzie tylko jego rady zażądano, tam znajdywano go zawsze niezmordowanym. Przy wyrabianiu assygnat, przy nakładaniu podatków, przy regulowaniu systemu miar i wag, wszędzie go spotykamy czynnym. Ale wszystkie dla ojczyzny te usługi jak i slawa jego naukowéj reformy, nie mogły go uratować od śmierci. Musimy tutaj przelotnie zwrócić oko, na ówczesny stan Francji.

Wydział bezpieczeństwa krajowego w r. 1793, była to jedyna władza we Francji, która wśród powodzi nieprzyjaciół ze wszech stron jéj narodowości zagrażającéj, sama jedna mogła skuteczną tamę postawić. Energiczną wolą i żelazną ręką, powstrzymywała rozkiełznane namiętności wewnątrz a jednocześnie gromiła zewnętrznych nieprzyjaciół kraju. Ale co z początku było siłą, stało się następnie szaleństwem i okrucieństwem. Trwoga ogarnęła całą Francję, spowodowała żałobę i rozpacz w rodzinach; nie szanując ani wieku ani płci, niweczyła ślepo wszystkie opinje, a posiłkując okrucieństwo obłudą, sparodiowała formy sprawiedliwości.

Okrucieństwa owego czasu, osłaniano wolą ludu i starano uniewinnić się konieczną ich potrzebą. Mógł być wprawdzie naród chwilową powodzią namiętności porwany i do okropnych czynów doprowadzony, ale nigdy nie mógł żądać śmierci męża, który przez swój genjusz ojczyźnie, a przez swoje cnoty, ludzkości zaszczyt przynosił.

W owych strasznych czasach, taki mąż jak Lavoisier posiadał dosyć przymiotów, aby zwrócić na siebie uwagę publicznego oskarżyciela; dwa były najważniejsze jego przekroczenia, mianowicie: bogactwo i jego wielkość naukowa. Lavoisier był jeneralnym dzierżawcą, należał więc do znienawidzonéj klassy ludzi, którym wszystkie nieszczęścia rządu starano się przypisać. Lecz Lavoisier jako uczony, zrobił sobie osobistego niebezpiecznego nieprzyjaciela. Był zaś nim *Marat*, lekarz z Neufchatel, niefortunny literat, którego zdobycie Bastylji nagle z nieubłaganego nieprzyjaciela demokracji, w namiętnego fanatyka postrachu przemieniło. Bailly i Lavoisier jako członkowie akademji, dowiódłszy jego niewiadomości, pozbawili go literackiéj sławy. Rewolucja podała Maratowi środek zemsty. Bailly więc poszedł na gilotynę 12-go Listopada 1793, a Lavoisier 8-go Maja 1794 roku.

[1]) Obacz w dziele: Die Chemie der Gegenwart, von Schödler Leipzig 1859, rozdział: Zeitalter der quantitativen Chemie, str. 239.

W Kwietniu 1794-ym roku aresztowano Lavoisiera. Skarga przeciwko niemu i reszcie jemu podobnych dzierżawców, obejmowała zarzut wspólnictwa wymierzonego przeciwko narodowi francuzkiemu, a którego celem być miało pomaganie nieprzyjaciołom Francji; następnie zarzut o ucisk wszelkiego rodzaju narodu francuzkiego, a przy administracji tabacznéj o dolewanie do tytoniu wody i innych szkodliwych płynów. Dnia 6-go Maja stanął Lavosier przed Trybunałem rewolucyjnym. Szyderstwo tylko mogło temu sądowi dać imię sądu przysięgłych. Byli oni wprawdzie losem wybierani, ale lista przysięgłych była ułożoną przez Komitet rewolucyjny i obejmowała osoby zupełnie mu oddane. O bezstronności i niepodległości zdania nie można tu było myśleć; sędziowie byli tu nieubłaganymi i okrutnymi wrogami oskarżonych. U takich Sędziów skarga i wyrok jedno znaczyły. Wszelka obrona była tu nieużyteczną i uważaną była za samą skargę. Przyjaciele Lavoisiera albo daleko byli, jak Carnot, lub drżeli sami o siebie; Fourcroy podejrzywają jakoby przez nieuczciwą chęć sławy, życzył sobie śmierci swego współzawodnika. Tylko szlachetny chemik *Loysel* odważył się podnieść głos w obronie oskarżonego i wyliczać przed trybunałem wszystkie jego świetne naukowe prace i zasługi. Wtedy to zabrzmiały owe pamiętne słowa publicznego oskarżyciela Fouquier'a—Tinville'a: „My już więcéj uczonych nie potrzebujemy!"

Dnia 8-go Maja 1794 wstąpił *Lavoisier* na gilotynę w 51 roku życia, i głowa największego z uczonych owego czasu, spadła pod toporem kata, na wieczną hańbę jego nieprzyjaciół.

Jan Pietraszek.

Głos z nad Narwi.

I.

Słyszeć jak trawa rośnie. — Trochę o Kurpiach.— Zdarzenie na ulicy.—Inne zdarzenie w jednem z większych miast nad Narwią. — Fotografije.

Czy wiecie co znaczy: ,,słyszeć jak trawa rośnie?" Wszak to przysłowie dosyć powszechne w stronach tutejszych.

Zdaje się, że twórcami tego przysłowia są nasi Kurpie i może się nie mylimy. Zastanówmy się bowiem. Wszakże las jest siedzibą, jest życiem Kurpia; krzesiwo, fajka i jordanka [1]) jego poezją, krzyżyk bursztynowy na piersiach jego skarbem, piosenka wesołością i smutkiem, a Narew powiernicą jego żalów. Kurp' *gwarzy* z brzęczącemi pszczółkami swych barci, *czuje* granie cietrzewi i chrapanie słomek, — umiał niegdyś

[1]) Jordanka jest zwykłą strzelbą myśliwską. Celność strzelania Kurpiów jest faktem znanym od dawna, a ten swój talent nie przypisują oni nabytéj wprawie, lecz owym jordankom, to jest strzelbom, w świąteczny dzień Trzech Króli zanurzanym w wodę święconą, a następnie jednocześnie z myrrą, kadzidłem i złotem poświęcanym. Osobliwszem jest, że jordanki Kurpiów, po największéj części są najniezręczniejsze; osady toporkiem obrobione, lufy do osad sznurkami przymocowane, a wszakże każdy ich strzał jest pewnym.

Z powodu wzmianki w dalszym ciągu o krzyżyku bursztynowym, nadmieniamy, że w lasach i gruntach położonych

zwietrzyć żubra, lub niedźwiedzia, dziś potrafi *wytropić* dzika, sarnę lub wilka; *lubuje się* widokiem szeleszczących dębów, szumiących jodeł, drzemiących gajów; — cóż więc dziwnego, że w obec takich okoliczności, nauczył się wreszcie *słyszeć* jak trawa rośnie!

Jakże pożądanym jest przez każdego kronikarza nabytkiem usłyszeć jak trawa rośnie! ot opowiemy wam, co się godnego wzmianki wydarzyło, np. w jednem większem mieście.

Owóż tedy, pewnego pięknego poranku, na krótko przed tegoroczną Wielkanocą, dwie ładne, zręczne i milutkie damy szły ulicą dźwigając wanienkę a w niéj chleb, bułki, masło, garnek z kaszą, warząchew, cedziłko i tarkę blaszaną. Najwidoczniéj wracały one z targu. Strudzone niezwykłym dla nich ciężarem i odbytą drogą, postawiły wanienkę na ziemi, by spocząć na chwilę.

Tłumy mieszkańców tego miasta przesuwające się tu i owdzie, nie zwróciły na nie uwagi; ale nie uszły one bacznego oka innéj mimo przechodzącéj, równie ładnéj, równie młodéj i może tylko nieco wykwintniéj ubranéj damy, którą na pierwszy rzut oka uderzyła rażąca sprzeczność ich zatrudnienia z salonową elegancyą w ruchach i w obejściu się, tem więcéj nawet, że z kilku dosłyszanych wyrazów ich rozmowy, można było poznać że należą do inteligentnéj klasy naszego społeczeństwa.

— Przebaczcie mi panie,— zagadnęła przechodząca — że jestem ciekawą jako nie tutejsza, bo zamieszkała nad Narwią, i raczcie mi wytłumaczyć, dla czego nie wyręczycie się sługą w tak niewłaściwém dla was zajęciu? Wszakże dźwigać taki ciężar, to nad siły wasze,— to może nadwerężyć wasze zdrowie, to jakoś nie wypada....

— W kilku słowach zaspokoimy pani ciekawość — odrzekła z nich jedna.—Sług obydwie nie trzymamy, bo ja jestem żoną literata, moja zaś towarzyszka żoną ubogiego urzędnika musimy więc potrzeby swoje stosować do nader szczupłych naszych funduszów. Wprawdzie stróżka domu w którym mieszkamy, przychodzi do nas codziennie z rana, dopełnić trudniejszych posług, ale reszta domowych obowiązków spoczywa na nas i nie nazwiemy je niewłaściwemi, lub ubliżającemi, poczytując je nawet za pewien rodzaj rozrywki, jaka nam bynajmniéj nie nadweręża zdrowia, jak pani osądziłaś.

— Wreszcie, —dodała druga z tych pań,— nie przeczę, że może przydałaby się nam sługa, ale obie wyszłyśmy dobrowolnie za mąż i zaprzysięgły przed Bogiem dzielić dolę i niedolę naszych mężów aż do śmierci. Obowiązkom naszym, jakie los na nas wkłada, ochoczo poddajemy się i wierz mi pani, sowitą za trudy nasze znajdujemy nagrodę w sercach mężów naszych.

Brawo Wam! czcigodne niewiasty, przesyłamy ze strony Narwi;—brawo! tak mocne, że echo naszych lasów od krańca do krańca powtarza brawo! Godne są głośnych pochwał istoty, które tak jak wy, pojmują swoje stanowisko i święte obowiązki. Cnoty Wasze szanowne panie, są to drogocenne nasiona przynoszące błogie owoce; — nasiona tak bardzo pożądane dla ugorowéj gleby nadnarwińskiego naszego gruntu!.....

Mniéj więcéj w tymże samym czasie, — ha! Bóg raczy wiedzieć, — może nawet w tejże saméj chwili co wyżéj opisane, miało miejsce inne znowu zdarzenie, w jednem z większych miast tutejszych.

W saloniku zebrało się trzy osoby: pani domu,— jéj córka panna Aniela, i pan Alfred, kandydat do ręki panny Anieli. Rozmowę rozpoczęła sama pani, zwracając słowa do pana Alfreda.

— Z jakąż to piękną kuchareczką prowadziłeś pan, jak się zdaje, nader interesującą rozmowę dzisiaj na rynku?

— Z kucharką?— ja? — kiedy? — gdzie?

— Tak jest — z kucharką, czy może *jakąś* dziewczyną, dzisiaj rano obok Ratusza. Wszakże tuż obok was przechodziłam. Scisnąłeś ją pan nawet za rękę, a mnie zaledwieś raczył lekko się ukłonić.

— Ale mylisz się pani — przypominając sobie, odrzekł p. Alfred,— ta kucharka czy dziewczyna, jak ją pani nazwałaś, jest szanowną osobą, żoną biednego, ale jednego z najzacniejszych moich kolegów, i za wiele w swym życiu trosk zniosła iżby ją jeszcze do pięknych zaliczyć było można.

— Jakto? — ta, co niosła sérek! i kurę! jest żoną pańskiego kolegi?

— Tak, bez wątpienia. Kupiła sérek dla dzieci, zaś kurę na rosół dla męża, który już czwarty tydzień złożony jest ciężką chorobą. Pytałem ją właśnie o zdrowie jéj męża, a żegnając się, istotnie ze współczuciem podałem jéj rękę, życząc, iżby ją Bóg pocieszył w tak dotkliwem zmartwieniu.

— Dla czegóż ta dziewczyna..... wtrąciła panna Aniela.

— Ależ nie dziewczyna,—odparł p. Alfred, — powtarzam że to była żona mego kolegi.

— A więc, dla czegóż ta żona pańskiego kolegi nie posłała służącéj do miasta? lecz sama *nosiła się* z kurą i serem po ulicach?

— Rozumiem. —Więc w waszéj opinii moje panie, każda jest poczytaną za sługę i podejrzaną piękność, kto, jak pani mówisz, *nosi się* z kurą, lub serem po ulicy! — Dla czego wszakże ta zacna dama, osobiście sprawunki w mieście załatwiła? nie badałem, ale sądzę, że służąca musiała być czemś innem w domu zajętą.

— Zawsze nietrafnie sobie postąpiła, — dodała panna Aniela.

— W czem? — zapytał p. Alfred.

— Że poszła za *golca*, (sic). Jabym *golcowi* (sic) nigdy nie oddała swéj ręki.

Zagryzł usta p. Alfred, po chwili wszakże zwrócił mowę do szanownéj mamy.

— Ale, ale — uczyniłaś mi pani lekką wymówkę, za chłodny ukłon przy spotkaniu się dzisiejszem na rynku. Przebacz pani memu roztargnieniu, ale nie mogę znieść widoku tego człowieka, który szedł z panią, a nawet dziwię się, że zostaje on w tak poufałych z panią stosunkach.

— Jak to? — zapytała pani domu — czyż go pan nie znasz? Wszakże jest on tutejszym obywatelem i bardzo *porządnym* człowiekiem.

— Ha, jeśli posiadanie kilkunastu tysięcy rubli w gotowiźnie i zastawach, już nadaje tytuł obywatelstwa, w takim razie i ja nie zaprzeczę mu téj godności; ale do *porządnych* ludzi nigdy lichwiarza nie zaliczę.

— Powiadam bardzo porządny człowiek.

— Pani go tak nazywasz dla tego, że jéj pożyczył pieniędzy tylko na 2% na miesiąc....

— Zkąd pan wiesz o tém?

— Widziałem rewers.— Ale ten *porządny* człowiek zdziera od innych po 3 i 4 procenta miesięcznie. Nie dosyć na tem, jednemu z moich znajomych pożyczył trzy ruble na zastaw poświęconego dukata z Matką Boską, i z obowiązkiem wykupu za miesiąc, za opłatą pół rubla tytułem procentu. — Biedaczysko dłużnik, zaciągnąwszy tę pożyczkę na pogrzeb zmarłego mu dziecka, zaledwie po upływie trzech miesięcy znalazł

---

po obu stronach Narwi, szczególniéj zaś w pasie od Ostrołęki do Myszyńca, były niegdyś bogate kopalnie bursztynu. I teraz jeszcze wprawdzie nie tak obficie produkt ten z ziemi wydobywają Kurpie, którzy kosztowniejsze okazy spekulantom częstokroć za bezcen zbywają, z mniéj cennych wyrabiają krzyżyki, paciorki, pierścionki i guziki na użytek własny, drobne zaś kawałki i okruchy posługujące do kadzenia, składają w kościołach na ofiarę.

się w możności wykupić drogą swoją pamiątkę, lecz niestety! zwrotu takowej, *porządny* człowiek, jakoby z powodu przedawnienia, stanowczo odmówił. Pochlebiłem mu zatém nazywając go człowiekiem, zaręczam bowiem, że każdy z ludzi posiada więcéj od niego w téj mierze uczciwości.

Nastąpiła chwila milczenia, w któréj p. Alfred przeszedłszy się po saloniku, stanął przed ścianą przyozdobioną kollekcyą fotografij i pilnie w nie wpatrywał się. — W środku zawieszony był w wielkich rozmiarach w stojącéj pozie portret p. Anieli; po lewéj stronie w biletowym formacie, także portret panny Anieli; daléj zaś fotografije nieznanych osób.

—I czegóż się pan tak przypatrujesz tym fotografiom?—uprzejmie zapytała panna Aniela — wszakże znasz je pan doskonale.

— Tak jest, znam,— odrzekł p. Alfred, — ale dostrzegłem teraz to, co przedtem uszło méj uwagi, mianowicie, brak symetryi. W środku panna Aniela, po lewéj stronie panna Aniela, po prawéj zaś *gołe* pole. Radziłbym zatem, zamiast tego *golca*, (wskazując palcem na ścianę) pomieścić tu trzecią pannę Anielę, którą właśnie posiadając, zostawiam paniom.

To mówiąc p. Alfred, wyjął z pugilaresu ofiarowaną mu przed kilkoma dniami fotografję panny Anieli, położył na stole i grzecznie pożegnał damy.

Jednakże przyznać potrzeba, że podobno najmilszemi dla nas pamiątkami są fotografije drogich nam osób. To też liczba fotografów tak się mnoży, że w saméj tylko Łomży, aż dwóch ich mamy, z których szczególniéj jeden, jakiś niemiec, wcale udatne robi fotografije; — drugi zaś chociaż fuszer, zaręczam wszakże, że więcéj jego camera obscura przynosi dochodu, niżeli camera clara niejednego z naszych literatów. I nic dziwnego, bo mniéj jest lubiących przeczytać coś pożytecznego, niżeli pragnących się fotografować, a to pragnienie takie już rozmiary przybrało, że sławne ze zbytków służące nasze, także zaczynają uwieczniać swoje rysy! — W tym właśnie celu, jedna z nich z szykiem ubrana, przybyła w tych czasach do fotografa niemca, i gdy objawiła mu swój zamiar, fotograf ze zwykłą narodowści swojéj naiwną uprzejmością odpowiedział:

— Tobsze, moja panienka, aber f jakiéj posycyi?.... .

— Co panu do mojéj pozycyi? — z gniewem zawołała służąca — wiedz pan, że lubo jestem służącą, prowadzę się moralnie...

Kurp'.

Wiadomości Techniczne.

— **Cugle bezpieczeństwa.** Na stronnicy 281-éj umieszczona Fig. 1-a przedstawia cugle podczas jazdy spokojnéj, Fig. 2-ga w stanie naciągniętym, dla poskromienia rozhukanego konia.

Cugle właściwe z cuglami bezpieczeństwa łączą się za pomocą paska rzemiennego równoległego od rzemienia umieszczonego na głowie konia (Kopfriemen). W stanie zwyczajnym kółko cuglowe znajduje się tuż obok wędzidłowego (Fig. 1-a), będąc oba połączonemi z sobą metalowém ogniwem. Chcąc konia w biegu zatrzymać, pociąga się ku sobie mocno i nagle cugle, a wtedy rzemień na głowie naciąga się i podnosi ją do góry (Fig. 2-ga) i koń przestaje władać sobą.

Ponieważ przyrząd ten, wynaleziony przez Hainego, ma podobno własność zatrzymywania w biegu najzuchwalszego konia, przeto bacząc na tak częste wypadki nieszczęśliwe z powodu rozbiegania się koni wynikające, polecamy go do zastósowania i rozpowszechnienia u nas p. p. fabrykantom uprzęży.

A. O.

— **Metal topiący się w 55° stopniach ciepła.** Dotąd znany był spływ (alijaż) najtopliwszy którén zaledwie we wrzącéj wodzie rozpływał się. Teraz wyrabiają daleko łatwiéj topliwą mięszaninę, składającą się z 60 części bizmutu, 32 części ołowiu, 16 cyny i 12 kadmu. Wszystkie metale w skład tego aljażu wchodzące są, dosyć trudno topliwe gdy będą wzięte oddzielnie. Przez ich stopienie utworzony metal jest biały, dosyć pięknie wyglądający — jako łatwo topliwy już w ciepłéj wodzie może być użyty do odcieków lub do wyrobu rozmaitych drobiazgów i figlów.

— **Farbowanie wódek i likierów na kolor różowy,** uważane za sekret przez wielu dystylatorów i jako taki drogo sprzedawany, polega na dodaniu do wódki, roztworu rozaniliny (fuksyny) w spirytusie. Fuksyna powinna być najlepszego gatunku (krystalizowana), inna bowiem może zawierać w sobie arszennik, przez to być najgwałtowniejszą trucizną. Kilka kropel takiego roztworu zdolne są zabarwić znaczną ilość płynu na kolor pięknie różowy, żywością barwy o wiele przewyższający zabarwienie koszenillą.

— **Papier, perkal i płótno uczynić nieprzesiąkalnemi.** Wiadomo, że rozczyn wodny tlenku amono-miedne-go jest powolnym rozczynnikiem włókna roślinnego i jedwabiu. Podług *Scoffern'a* dosyć jest przeciągnąć powoli dwa pasy papieru przez rozczyn tlenku amono-miednego, następnie pomiędzy dwa walce, aby doznawszy między niemi ściśnienia, zlepiły się w jeden pas, który wygładzony podczas suszenia, daje taśmę spojoną i dla wody nieprzesiąkalną. Płótno wymaga dłuższego zetknięcia się z rozczynem tlenku amono-miednego, uważać jednak trzeba, aby tylko na powierzchni swojéj doznało działania przetworu miednego, jeżeli nie ma stracić na spójności swojéj. Pomysł ten, acz trafny, nie można uważać za wykończony. Papier nieklejony i płótno gumowane zmienione na powierzchni swojéj wodnym rozczynem tlenku amono-miednego, zatrzymują w sobie część tego przetworu. Działając natychmiast na wsiąkły tlenek amono-miedny właściwemi do tego przetworami chemicznemi, można osiągnąć niektóre kolory bardzo blade i utworzyć powłokę mineralną, powiększającą trwałość papieru lub płótna. Przeciągając powyższym sposobem zmieniony papier przez wodny rozczyn szkła rozpuszczalnego, odpowiedniéj soli magnowéj lub wapowéj, można otrzymać gatunek papieru skamieniałego. W ogóle zasługuje rzeczony pomysł na dalsze próby, mające na celu otrzymanie taniego surogatu rzemienia i materjału zdatnego na trwałe pudełka i pudła.

J. B. R.

— **Trwała apretura perkalów i płócien.** Apreturą nazywa się gumowanie i wygładzenie tkaniny. U włókna roślinnego używa się zwykle krochmalu, kwasem po części w gumę zamienionego. Apretura ta jest krucha i odpada przez tarcie. *Imbs* radzi apretować białkiem, zaprawionem małą ilością gliceryny, którego krzepnienie następuje pod wpływem gorącéj pary wodnéj. Apretury téj można użyć w mięszaninie z farbą i zarazem drukować i apretować jeżeli potrzeba wyłącznie miejsca kolorowe. Prócz tego nadaje się apretowanie białkiem do wyprawy przędziwa i wszelkiego rodzaju nici.

J. B. R.

— **Rozróżnienie włókna lnianego od bawełny.** Dr. *Wiederhold* podaje następujący sposób bardzo prosty a pewny.

Rozkręciwszy nitkę ostrożnie i urwawszy ją następnie przez powolne rozerwanie, dostrzega się wielką różnicę w urwanych końcach nitki lnianéj, a bawełnianéj. Nitka bawełniana rozłazi się łatwiéj, końce powstałe przez rozerwanie przedstawiają strzępy długie, gałęziste i jakby kręcone. Końce powstałe przez urwanie nitki lnianéj są jakby ucięte, niestrzępiate i nie przedstawiają kosmyków długich, ani skręconych. Trochę wprawy oka na nitkach jednych czysto lnianych, drugich czysto bawełnianych, następnie na nitkach z tkanin mięszanych, a sposób ten okaże się łatwym oprócz nieomylności swojéj.

J. B. R.

ROZMAITOŚCI.

— **Nowe dzieła: (M. D.) Bezżeństwo duchownych;** *ustanowienie pobudki i skutki onego. — Kwestja podjęta ze względu na odbywający się Sobór Powszechny, przez pewnego katolickiego kapłana, — przekład z niemieckiego przez księdza J. Z. F. plebana Z.* — Warszawa w drukarni Gazety Polskiéj 1870 roku.*

Pod takim tytułem wyszła świeżo broszura, napisana przez Niemieckiego, a tłumaczona na Polski przez polskiego księdza. Autor i tłumacz— pierwszy z napisanéj broszury,drugi z przedmowy do téj broszury, zatytułowanéj „*do czytelnika polskiego*“ — są gorącymi przeciwnikami celibatu w duchowieństwie. „Cel mój — powiada autor na str. 23 swojéj broszury, był dobry. Powtarzam to raz jeszcze, że nie było i nie jest moim zamiarem uderzać na stan duchowny, godny szacunku i poważania, ale celem moim było jedynie wykazać wadliwość urządzenia, które szkodliwie wdziera się w życie społeczne, i czego zresztą dowodzi historja“.... Autor powiada, że celibat za dawnych czasów chrześcijańskich nie istniał, że ustanowienie bezżeństwa pomiędzy duchownymi, wprowadzonem było dopiero w czasach późniejszych, mianowicie pierwsze przepisy dotyczące bezżeństwa duchownych, znajdujemy dopiero w początkach IV stulecia. Na synodzie biskupów Hiszpańskich w Elwirze r. 305, wydane zostały pierwsze rozporządzenia co do wprowadzenia celibatu. Następnie rozporządzenia podobne wydano na synodzie w Ancyrze r. 314 i na pierwszem powszechnem koncylium w Nicei r. 325. Przepisy te przez kilku Papieży: Syrycjusza, Leona i Benedykta zostały wznowione i obostrzone, jednakże ogólnie ich nie zachowywano — owszem, bardzo niewielu miały zwolenników. Dopiero w 1074 roku za Grzegorza VII na koncylium w Rzymie, celibat formalnie został postanowiony i nakazany jako prawo obowiązujące. — Autor utrzymuje daléj, że prawo o bezżeństwie wywołało wielkie niezadowolenie, a nawet rozburzenie tak pomiędzy duchownymi, jak i w społeczeństwach — o czem można się przekonać z historji kościelnéj, że papieże zmuszeni byli odstąpić od ogólnéj zasady nietylko na korzyść pewnéj części duchowieństwa, jak np. dla duchownych Unickiego wyznania, zostających do dziś dnia pod duchowną władzą kurji rzymskiéj, ale zdarzały się wypadki, że potwierdzali małżeństwo pojedynczych kapłanów. Autor dowodzi, że kurja rzymska przez celibat nie dopięła celu, jaki sobie zamierzyła, t. j. *ide-idealnego kapłaństwa*, które zdaniem autora, jest niemożebne w obec społeczno-ziemskich stosunków. Daléj ksiądz Niemiecki stara się wykazać całą doniosłość złych skutków wynikających z celibatu, utrzymując, że w żadnym razie, nie może być interesem religji, utrzymanie bezżeństwa pomiędzy duchownymi: owszem, według niego, podobne prawo szkodzi saméj religji, uwłacza charakterowi duchowieństwa, i jest przeciwne interesom państwa i narodów. Zdaniem jego, podobne prawo jest główną przyczyną wielu nadużyć, jakie się widzieć pomiędzy duchowieństwem dają, a oddzielając kapłana od praw i obowiązków życia rodzinnego, robi zawód jego bardzo gorzkim, ciężkim i popycha do pomimowolnego łamania tego prawa na każdym kroku w życiu. — Obronicielom celibatu autor stara się wykazać całą błędność i bezzasadność ich zapatrywań i dowodzeń, a w końcu wypowiada nadzieję, że zebrany Sobór w Rzymie, weźmie zapewne pod głęboką rozwagę ważną kwestję celibatu i załatwi się z nią w sposób zgodny z postępem i społecznemi interesami ludów.

Powyższa broszura, o któréj dajemy to krótkie sprawozdanie, nie wyczerpuje należycie kwestji, owszem traktuje ją bardzo pobieżnie i więcéj tam jest ogólnego poglądu aniżeli, szczególnych i prawdziwie głęboko społecznych argumentów, do których bezżeństwo duchownych, zdaniem naszem, daje bardzo wiele powodów i materjału.

— **Szkoła rolnicza (S).** Sejmik Toruński uznał jednozgodnie potrzebę utworzenia szkoły rolniczéj dla synów właścicieli mniejszych posiadłości. W tym celu wybraną została Kommissja, która krzątając się gorliwie około urzeczywistnienia téj myśli, zajmuje się zbieraniem, za pomocą dobrowolnych składek, potrzebnych funduszów na założenie rzeczonej szkoły.

Wybrani do téj Kommissji członkowie—obywatele powiatu Starogardskiego, w odezwie swéj z dnia 4 kwietnia r. b. przemawiają pomiędzy innemi, słowy następującemi, do osób pragnących przyjść w pomoc temu nowo utworzyć się mającemu zakładowi:— „Każdy w swym zawodzie, czy on rzemieślnik, czy kupiec, czy uczony, stara się wydoskonalić, stara się o oświatę: tylko my, Bracia, my rolnicy, czy wydoskonalamy się w swojem zawodzie? Czyż uczymy się rolnictwa? Wreszcie, czyż staraliśmy się o to, gdziebyśmy synów, jeżeli już nie samych siebie, pouczać mogli: jak umiejętnie i ze znajomością rolę uprawiać, jak z bydłem się obchodzić? A jednakżeż, Bracia, jesteśmy narodem rolniczym..... i t. d.“— Są to słowa bardzo dobitnie wyrażające niezbędną potrzebę założenia takiéj szkoły w Prusach Wschodnich, i powinnyby dźwięcznem echem odezwać się w sercach wszystkich dobrze życzących temu pożytecznemu zakładowi.

Korrespondencja od Redakcji.

— Pan *K. P.* **Uczeń sztuki drukarskiéj** Zechcesz Pan osobiście porozumieć się co do nadesłanego artykułu, w Redakcji przy ulicy Solnéj № 715. Toż samo pan *Maksymiljan*, autor poezji „**Fantazja**“

— Panu *Filokrasowi*: Redakcja Opiekuna Domowego nie zajmuje swoich czytelników ani Szaradami, ani Zagadkami, ani żadnemi Łamigłówkami.

✝

ś. p. ZOFJA z BRZOZÓWKI
(z Chłopickich Klimańska).

— Bolesnym ciosem, jaki uderzył serca nasze, dzielimy się z czytelnikami „*Opiekuna Domowego*.“ W przejeździe przez Warszawę w dniu 3 b. m. zmarła współpracowniczka niniejszego pisma, od chwili jego powstania aż do dziś prawie;—na parę bowiem godzin przed śmiercią, wykończała jeszcze dla Was poważniejsze prace, które czytać będziecie. Znaliście ją wszyscy, co jesteście przyjaciołmi **Opiekuna**, którego ona była filarem i główną podporą... Błogosławieństwo téj zacnéj kobiety, jakie na śmiertelnem łożu dawała nam i pismu—przekazujemy Wam czytelnicy, jako ostatnią jéj wolę, — innéj nie miała nad tę, a da się ona zamknąć w słowach „pracujcie zacnie i kochajcie się, a Bóg Wam poszczęści.“ Obszerniéj o téj pracowniczce w winnicy Pańskiéj, powiemy później.

Wydawca, Mieczyński Adam.—Druk. J. Psurskiego.— Дозволено Цензурою.— **Redaktor,** Oskar Stanisławski.